

Henryk Markiewicz (16 XI 1922 – 31 X 2013)

Henryk Markiewicz zmarł w wieku 91 lat. To długie życie było jednym z najbardziej pracowitych i twórczych, o jakim w ogóle słyszałem. I było spełnione. W każdym znaczeniu tego słowa. Mógł odejść spokojnie, w poczuciu tego spełnienia. Było ono niemal zupełnie wypełnione pracą. Ale – nie wiadomo zupełnie, jaki sposobem – znalazło się w nim dużo miejsca na mnóstwo innych spraw: na bogate, piękne życie rodzinne, na wielu przyjaciół, z ich troskami i sukcesami, na bliskie, przyjacielskie kontakty z uczniami, na życie towarzyskie, zabawę, tę prywatną, z tekstami literackimi, i tę w gronie bliższych mu osób, które obdarzał błyskami swojego wyrafinowanego poczucia humoru; na kino, które bardzo lubił; na teatr, bez którego nie umiał się obejść; na uważną lekturę wielu czasopism, wcale nie tylko naukowych; na telewizję, którą oglądał, wybiórczo oczywiście, ale właściwie na co dzień; na czytanie bestsellerów. Nikt, nawet Jego najbliższa rodzina, nie wie, jakim cudem udawało Mu się rozciągać tak niepomiarne własny czas, aby w nim pomieścić to wszystko.

A znajdował przecież jeszcze często czysto prywatny czas dla tych, którzy potrzebowali Jego rady i pomocy. Szukali oparcia w Jego głębokiej i zawsze uczynnej mądrości. Bo mimo wyciszenia i skromności emanowała z Niego zupełnie dostrzegalnie jakaś głęboka mądrość wielkiego rabbiego. I tak czasem – z ciepłą żartobliwością i jakby poufałą czułością – o nim mówiliśmy: nasz wielki Rabbi. Kiedy mówię o Jego mądrości, mam jeszcze coś innego na myśli niż tę Jego wielką, podziwianą przez wszystkich, wiedzę. Jego mądrość może i wypływała z tej wiedzy, ale – jak chyba każda prawdziwa mądrość – sytuowała się ponad wiedzą. A wiedzę, jak to wiadomo powszechnie, miał niezwykłą, nieskończenie obszerniejszą, niż Jego ukochana, blisko bodaj 50-tysięczna biblioteka (o której parę lat temu opowiadał z taką czułością i dumą). I nawet ta wielostronna erudycja utrwalona w Jego własnych książkach nie obejmuje w pełni zakresu owej wiedzy. Było tych książek, jak wiadomo, wiele. I ciągle, do ostatnich lat, pojawiały się nowe. Nie ma, jak sądzę, potrzeby, by je tu teraz wyszczególniać; zresztą do „Markiewiczowskiej faktografii” wrócę jeszcze w swoim czasie.

Tak sobie nieraz myślę – a szczególnie teraz, kiedy odszedł i nic już więcej nie napisze – że o ileż obszerniejszy i donioślejszy byłby ten Jego i tak już ogromny dorobek (skoro zupełnie poważny debiut krytycznoliteracki miał jeszcze jako dziecko), gdyby Jego życie u zarania dojrzałości twórczej nie zostało tak tragicznie naznaczone przez historię – ucieczką w 1939 roku przed nazizmem do ZSRR (a miał już wtedy kilka poważnych publikacji); potem zesłaniem na Ural i do Uzbekistanu, potem, od roku 1946, przez niemal dziesięciolecie, uwikłaniem w złudne komunistyczne mrzonki, którym nawet Jego ostry i sceptyczny umysł się nie oparł. Co prawda sam nigdy się nie skarżył, nie miał chyba nawet poczucia tragizmu swej biografii, czy choćby poczucia krzywdy albo jakichkolwiek „pretensji do świata”. Gdy raz w rozmowie z nim o pobycie na sowieckim zesłaniu użyłem określenia Czapskiego „na nieludzkiej ziemi”, nawet się obruszył i prawie wykrzyknął: *To nieprawda, że była nieludzka! Nikt ze zwyczajnych ludzi, Rosjan czy Uzbeków, nigdy nie uczynił mi tam najmniejszej krzywdy! Czasy były podle. Dopuszczono do władzy abstrakcyjne systemy. Krzywdziły moich uzbeckich i rosyjskich sąsiadów jeszcze bardziej niż mnie.* I po dłuższej chwili dodał bardzo już spokojnie: *Za głupstwa, które robiłem, i za to, czego nie potrafiłem zrobić, choć powinienem, nikt nie ponosi winy; ja sam tylko.* Niewiele było takich Jego otwartych i emocjonalnych wyznań, lecz zasadniczy sens tych słów przejawiał się w całym Jego życiu. Był rdzeniem Jego etyki. Dlatego ów urywek dawnej rozmowy tak mocno zapamiętałem. Niczym Jego osobiste „skrzydlate słowa”.

Są one w całym Jego postępowaniu więcej niż potwierdzeniem. Co mógł naprawić ze swoich pomyłek, to naprawiał, najlepiej jak potrafił; i zawsze z nawiązką. Jeśli Jego życie naukowe gdzieś do 1953 roku było „okresem błędów i wypaczeń”, to bynajmniej tego nie ukrywał, choć jasne, że się tym i nie chwalił. Miał tę niezwykłą cechę wielkich osobowości, że swoich błędów nie usprawiedliwiał, ale się na nich naprawdę uczył, do głębi. Potrafił je w ten sposób przerabiać w wartości; po prostu dlatego, że były źródłem rzetelnych działań naprawczych na szeroką skalę. To prawda, że w 1952 wydał (i to w Ossolineum!) książkę *O marksistowskiej teorii literatury*, z której pożytek niewielki, szkody pewnie wiele, po latach dla niego samego najwięcej, choć z drugiej strony przyśpieszyła w swoim czasie Jego karierę uniwersytecką. Ale już cztery lata później wydał (w Wydawnictwie Literackim) *Tradycje i rewizje*, gdzie tamte swoje poglądy zrewidował tak gruntownie, że zaczęto go łączyć z przełomem Październikowym. A niecałe siedem lat potem, w 1964 roku, ukazało się Jego wiekopomne dzieło (stałe potem poszerzane i aktualizowane) *Główne problemy wiedzy o literaturze*, stanowiące niewątpliwie fundament nowo-

czesnego polskiego literaturoznawstwa i Jego wizytówkę w nauce światowej, podczas gdy o książce z 1952 roku pamięta już tylko niewielkie grono krajowych frustratów.

Powszechnie zatem wiadomo, że Henryk Markiewicz był wielkim polskim uczonym humanistą, że był wybitnym profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Akademii Umiejętności. Nie wszystkim jednak, którzy znają Jego wielki dorobek naukowy z bibliotek, wiadomo, że był mędrce i mistrzem. Nie ma natomiast co do tego wątpliwości bodaj nikt, kto miał szczęście zetknąć się z Nim osobiście. A zatem i prawie każdy humanista z Jego rodzimego uniwersytetu.

Dla nas, Jagiellonian, przede więc wszystkim był Mistrzem. Nazywałem go kiedyś – zaocznie – Henryk Wielki i to określenie wśród młodszych Jego przyjaciół się przyjęło, choć nikt oczywiście nigdy nie zwracał się do Niego „mistrzu”. Markiewicz był we wszystkich kontaktach ujmąco prosty i tego oczekiwał od innych w stosunku do siebie: normalności, zwyczajności. Ale jednak to wołaczowe „mistrzu” jakoś w kontaktach z nim podskórnie, bezgłośnie istniało, niezależnie od tego, czy mówiliśmy do niego „panie profesorze”, „proszę pana”, czy „Henryku”. Zaoczne określenie „Henryk Wielki” było nieco cudzysłowowe, żartobliwe i przepojone poniekąd Markiewiczowskim poczuciem humoru i Jego znamienym dystansem do samego siebie, do świata zresztą też. Ale zarazem – choć tego nigdy się wprost nie ujawniało – traktowane całkiem serio, jako najzupełniej adekwatna „charakterystyka onomastyczna” Profesora. Tak też zawiadomił mnie emailem o Jego śmierci mój bliski przyjaciel – i od pewnego czasu bliski, oddany przyjaciel Markiewicza – profesor Waław Twardzik. *Mam dla Ciebie hiobową wieść.* – napisał – *Zmarł Henryk Wielki.* Nie mogłem być na Jego pogrzebie. Prawie równocześnie zmarła w Warszawie moja żona, Zosia, również najszczerza wielbicielka Henryka, choć z polonistyką tyle tylko miała wspólnego, że była moją żoną; i pierwszą żoną wybitnego polskiego poety, Tadeusza Nowaka, zmarłego 22 lata wcześniej. Dla niego także Henryk był zawsze wielkim autorytetem, choć znali się jeszcze z czasów studiów u Pigionia.

Powiedzieć jednak o Markiewiczu, że był Mistrzem, to powiedzieć o nim jeszcze dość niewiele, nawet jeśli zakłada się, że nie każdy, choćby i wybitny, profesor bywa dla swoich uczniów Mistrzem. W naszej potocznej kulturze (i potocznej mowie) słowo „mistrz” kojarzy się przede wszystkim z doskonałością rzemiosła, z perfekcyjnym opanowaniem jakiejś dziedziny i zdolnością udzielania swych umiejętności uczniom; z autorytetem technicznym – erudycyjnym, warsztatowym, teoretycznym. Stąd takie wyrażenia obiegowe, jak „dorównać mistrzowi”, czy nawet „przewyższyć mistrza”, nie mówiąc już o „dyplomie mistrzowskim”. Oczywi-

ście, Markiewicz był także takim mistrzem, mistrzem rzemiosła polonistycznego. Był dla nas tym wszystkim, co różne odmiany słowa „mistrz” zawierają. Mogliśmy czerpać z zasobów Jego niewyobrażalnej wiedzy w sposób nieograniczony, to znaczy na tyle, na ile było nas w ogóle na to stać, unieść i przyswoić to, co mógł dać.

Przy całej swojej postawie dystansu, rezerwy (co wynikało przede wszystkim z Jego wielkiej skromności i delikatności) był niezwykle przystępny i pozwalał się nam niekiedy traktować jak żywa podręczna encyklopedia uniwersalna (bo dalece nie tylko literaturoznawcza przecież) na doraźny użytek, pozwalał nam nawet nieraz wykorzystywać się zgoła bezczelnie, „na zawołanie”, na telefon, udając zazwyczaj, że tej bezczelności naszej w ogóle nie dostrzega; choć pewnie go to i trochę bawiło. Potrafił być pobłażliwy, bo miał niespotykane poczucie humoru, przebłykujące spoza akademickiej powagi. Jak dalece potrafił bezinteresownie bawić się „jak dziecko” także sprawą najważniejszą w życiu, swoją naukową domeną, tego świadectwem trzy, poszerzane kolejno, tomy *Zabaw literackich*, czy antologii, w rodzaju tej ostatniej, zeszlórocznej *Igraszki polonistów*. Przekroczywszy sześćdziesiątkę, pokazywał się coraz częściej jako rasowy *homo ludens*. Jego naukowa powaga i naturalna godność nie miała zresztą nigdy nic z akademickiego dostojenstwa. Ludyczność zaś podkreślała raczej niż zacierала tę powagę. Był niekwestionowanym autorytetem, i to w wielu dziedzinach. Ale nie był autorytarny. Nigdy. Choć bywał stanowczy i w niektórych sprawach pryncypialny. W sprawach zasadniczych, naukowych, w sprawach rzetelności badawczej i faktograficznej o najmniejszej nawet pobłażliwości mowy być nie mogło. Kto tego nie dostrzegał, albo to bagatelizował, nie mógł być Jego prawdziwym uczniem. Mógł być co najwyżej „uczestnikiem zajęć”, traktowanym uprzejmie, ale nie z serdecznością ani zaciekawieniem.

To, że strzegł pilnie swojej wiedzy i umiejętności, nie znaczyło w najmniejszej mierze, że „strzegł jej zazdrośnie”; znaczyło natomiast, że sam ją nieustannie kultywował, rozwijał, dopełniał, skrętnie utrwał; że w ostatecznym rachunku strzegł jej dla nas, żebyśmy sami nauczyli się w ten sposób jej strzec. Oddawał ją z ostrożną rozwagą, ale bez ograniczeń. „Za darmo”. Jedyńą ceną, której oczekiwał i wymagał, był trud, jaki trzeba było włożyć, by przyjąć i utrzymać ten dar. Bez żadnych pedagogicznych restrykcji z Jego strony. Po prostu – kto na taki trud się nie zdobywał i nie podejmował go nieustannie, otrzymywał niewiele, albo i tracił to, co już otrzymał. Jak w przypowieści o zakopanych talentach. Albo jak w tych zdumiewających ewangelijnych „skrzydlatych słowach”, że „kto ma wiele, temu będzie dodane, a kto ma mało, ten straci i to, co ma”. Tego Profesor jednak bynajmniej nie „głosił”. On to pokazywał,

a raczej wydobywał z nas magicznie tego rodzaju mądrości, ale w taki sposób, żeby nam się zdawało, żeśmy sami do nich doszli.

Tak i tylko tak należy rozumieć, że „Markiewicz był profesorem bardzo wymagającym”. Bo choć obca była mu jakakolwiek belferska surowość, wymagający był naprawdę. Nie budził lęku, lecz ogromny respekt. A jeśli już jakieś lęki, to przed Jego dezaprobatą (wyrażaną zresztą zawsze bardzo taktownie – lecz i bezkompromisowo). Akceptowaliśmy te Jego wymagania całkowicie. Byliśmy wręcz z nich, i z braku taryf ulgowych, dumni; czuliśmy się przez to szczególnie dowartościowani, traktowani poważnie i partnersko, gdyż było jasne, że wymagania wobec nas są tylko złagodzoną odbłaskiem Jego wymagań wobec samego siebie. A sam – mimo swojej nieobjętej wiedzy (a może właśnie z tego powodu) – uczył się stale, do końca życia. I wcale tego nie ukrywał, tak jak nigdy nie ukrywał błędów, które w swoim przekonaniu popełnił, ale je jawnie, choć bez ostentacji, naprawiał, „zadośćuczynił”. Potrafił też gruntownie zmienić zdanie, gdy horyzont Jego stale rosnącej wiedzy tego od niego wymagał. Pozostawał przy tym w jakiś ujmujący, a zarazem tajemniczy sposób wiernym sobie. Nazywał to po prostu przyzwoitością. Miał takie przysłowie: „jeśli nie wiesz, jak się zachować, to zachowuj się przyzwoicie”.

Nauka stanowiła dla niego wartość zasadniczą. Obszar imponderabiliów. Jego klejnotem (we sensie potocznym, ale także w sensie „klejnot szlachecki”) była biblioteka. Ale jeśli nauka miała „służyć Prawdzie”, to ani On sam nie uważał się za właściciela Prawdy, ani nie przyznawał takiego prawa komukolwiek. I tego nas uczył. Jak gdyby mimochodem. Jak gdyby nie chciał pokazać, że nas tego uczy. To szło do nas od Niego jakoś tak samo z siebie. Udzielało się w samym obcowaniu z nim. Przez osmozę. Rzetelność zajmowała w Jego systemie wartości miejsce bardzo poczesne, może naczelne. Bo również należała do, by tak rzec, egzystencjalnych imponderabiliów, przede wszystkim może imponderabiliów etycznych. A przejawiała się właściwie na wszystkich obszarach Jego aktywności – uprawiania nauki, wierności wobec faktów, dbałości o ład naukowy, o spójność, przejrzystość i konsekwencje myślenia, o precyzję i odpowiedzialność wysłowienia, o procedury badawcze, metodologię. I w niemniejszym stopniu – we wszelkich, także czysto prywatnych, relacjach z innymi. Także wobec siebie samego. Rzetelność, uczciwość, przyzwoitość i powaga w Jego poglądach i postępowaniu jakoś się nakładały, wzajemnie uzupełniały, a czasami utożsamiały. To właśnie ten imperatyw rzetelności kazał mu nie poprzestawać nigdy na osiągniętym już stanie i zasobie własnej wiedzy. Jak myślę, rzetelność właśnie w połączeniu z poczuciem dystansu i intelektualną elegancją pozwoliły mu zawrzeć rzadko spotykany kompromis między umiarkowanym konserwatyzmem

a niekrzykliwym, lecz istotnym nowatorstwem, między ostrożnym sceptycyzmem a odwagą ryzyka, między odwagą a umiarem. Intelktualną i naukową aktywność, otwartość poznawczą, systematyczne zainteresowanie bieżącymi wydarzeniami – zachował do swoich ostatnich dni. Kiedy odwiedzałem Go w domu, gdy dobiegał już dziewięćdziesięciu lat, czułem się tak, jakbym obcował z wieczną dynamiczną młodością. Będąc młodszym od niego o równe 20 lat, czułem się nieraz przy nim zmęczony i stary. I trochę zazdrosny o tę Jego młodzieńczość ducha. Ale też zawsze wychodziłem od niego pokrzepiony. To był kolejny – mimowolny – dar Mistrza.

Każdy z Jego uczniów, jeśli był w miarę rozgarnięty i elementarnie samokrytyczny, zdawał sobie doskonale sprawę, że uznać w pełni i prostolinijnie profesora Markiewicza za mistrza, w „rzemieślniczym” rozumieniu tego słowa, mistrza, któremu można „dorównać” – byłoby uzurpacją i świadectwem zadufania. Ambicja przejęcia Jego zasobu wiedzy erudycyjnej, Jego umiejętności analityczno-syntetycznych, przenikliwości rozumienia, zmysłu ładu i prostoty zarazem – byłaby czystą utopią. Markiewicz był – i jest oczywiście nadal – mistrzem, w którego postawie i postępowaniu prawdziwie zdolny uczeń potrafił wyczytać, niewyrażaną nigdy przez niego wprost, zachętę: *vade mecum*, z góry zdając sobie sprawę, że finalne zwieńczenie tego „wezwania” jest niemożliwe do osiągnięcia.

Pamiętam, jak kiedyś Jan Błoński, wzmiankując mimochodem jakąś dawno zapomnianą powieść młodopolską, nagle się zreflektował i wtrącił: *No tak, ale o tym już dzisiaj nikt nie wie. Z wyjątkiem Głowińskiego, który o powieści młodopolskiej wie wszystko. I oczywiście Markiewicza, który w ogóle wie wszystko.*

Takie było nasze odczucie i przekonanie: „Markiewicz wiedział wszystko”. A nikt z nas przecież Markiewiczowskiego „wszystkiego” wiedzieć nie miał szans. I to dla nikogo nie ulegało wątpliwości. Byliśmy jednak bądź co bądź Jego bliskimi uczniami. Więc był „naszym mistrzem”. Henrykiem Wielkim. Bez wątpienia. Lecz Markiewicz jako wzorzec mistrza był horyzontem mistrzostwa. Otwierającym się chętnie i wskazującym kierunek, wzywającym dyskretnie do podjęcia i kontynuacji intelektualnych podróży: *vade mecum*. Ale im bardziej człowiek szedł, im bardziej się do tego horyzontu „zbliżał”, tym bardziej on się od niego oddalał. Horyzontu przecież osiągnąć i posiąść nie można. Dlatego jest horyzontem. Ale bez horyzontu wszelki sensowny ruch w przestrzeni jest niemożliwy. Staje się ruchem bezładnym. Szarpaniną. Markiewicz – w owej „horyzontalnej” perspektywie – był widoczny i pewny. Społegliwy, jak powiadał Kotarbiński. Toteż – z drugiej strony – im bardziej człowiek za nim podążał, tym bardziej owo oddalające się „nie-

osiągalne” stawało się własne, przyjazne. Markiewicz nie tyle prowadził swoich uczniów, ile – jakby mimochodem – stawiał im wyzwania, otaczając ich najdyskretniej serdecznością, troską, przyjaźnią, wiarą w ich możliwości, gotowością do pomocy, rady i – zawsze stymulującej, krzepiącej, nigdy nie obezwładniającej – krytyki. Markiewicz był naszym mistrzem przez to samo, że był. Był aktywnie, twórczo. I był dla nas. Będąc dla nas równocześnie – w pełnym rozmiarze swojej wiedzy i umiejętności – monadą.

Zdaję sobie sprawę, że wszystko, co tu dotąd napisałem, brzmi nader ogólnikowo. A wszelką ogólnikowość Profesor tolerował z trudem, jeśli oczywiście nie liczyć ulubionych przez Niego *Ogólników z Vade-mecum* Norwida, w których dopatrywał się, jak wiadomo, swojego *vade mecum*. Muszę zatem dotychczasową ogólnikowość i mglistość tych moich wspomnieniowych wyznań ukonkretnić biograficznie i faktograficznie.

Henryk Markiewicz przepracował na Uniwersytecie Jagiellońskim 44 lata. Od roku 1949, kiedy za sprawą swego bezpośredniego opiekuna, Kazimierza Wyki, został zatrudniony na stanowisku „zastępcy asystenta”, jeszcze przed uzyskaniem magisterium. Do końca roku 1992, kiedy to przeszedł w stan spoczynku. Czysto formalny „stan spoczynku”. Spoczynku bardzo pracowitego. W rzeczywistości bowiem przez całe swe emerytalne dwudziestolecie był na polonistyce jagiellońskiej nadal profesorem zwyczajnym nadzwyczajnie czynnym i stanowiącym niedościgniony wzór w tym względzie nie tylko dla swoich uczniów. Nie prowadził już wprawdzie żadnych zajęć dydaktycznych dla studentów czy doktorantów, ale w Katedrze Teorii Literatury, której kierownictwo po nim (do 2003 roku) przejąłem, był jeszcze kilkanaście lat „normalnym”, bardzo obowiązkowym i bardzo czynnym członkiem, choć przyznaliśmy mu „tylko” kierownictwo honorowe. O stałym czynnym uczestnictwie w krakowskim życiu naukowym i kulturalnym nawet już nie wspomnę. Wielką, coraz większą, wagę przywiązywał do bardziej i mniej prywatnych spotkań towarzyskich oraz indywidualnych kontaktów osobistych. Udział w bardziej oficjalnych imprezach naukowych musiał, z wielkim żalem, w ostatnich latach ograniczyć z powodu bardzo pogarszającego się słuchu. Całkowitą sprawność intelektualną oraz aktywność badawczą i pisarską zachował jednak dosłownie do ostatnich dni swego długiego życia. Bogatymi i najzupełniej konkretnymi planami literacko-naukowymi dzielił się jeszcze niedawno, na spotkaniu jubileuszowym w listopadzie 2012 roku. Było to Jego dziewięćdziesięciolecie. Piękna i wzruszająca, a zarazem nieco dziwna impreza – trochę uroczystość „ku czci”, trochę sympozjum naukowe, trochę przyjęcie towarzyskie, a trochę literacko-naukowy cyrk (pod kierunkiem doktora Bronisława Maja); jedna z „zabaw literackich”, które tak lubił.

Profesor Henryk Markiewicz był tytanem pracy. Może niezupełnie aż „Kraszewskim polskiego literaturoznawstwa”, ale prawie. Nie chciałbym przywiązywać zbyt wielkiej wagi do statystyki, niemniej w wypadku Markiewicza już i sama statystyka jest wymowna. Kiedy w Jego „roku jubileuszowym” i zarazem pierwszym „roku emerytalnym”, 1973, profesor Wacław Twardzik z Polskiej Akademii Nauk sporządził pełną Markiewiczowską bibliografię, liczyła ona 1146 pozycji, w tym dwadzieścia kilka książek autorskich. Dziś, po 22 latach, gdyby to ktoś znów tak skrzętnie policzył, musiałyby chyba dobiegać dwóch tysięcy, albo nie tak wiele mniej. Samych nowych książek – a mówię to tylko na podstawie mojej półki biblioteczej z dedykowanymi darami od niego – przybyło najmniej 10. I są to przeważnie książki, nie książeczki.

Z profesorem Markiewiczem po raz pierwszy zetknąłem się bezpośrednio, acz jeszcze jednostronnie, w 1963 roku jako słuchacz Jego tłumnie uczęszczanych (nie tylko przez polonistów) wykładów teoretycznoliterackich, pierwszych bodajże w Polsce systematycznych wykładów z tego przedmiotu. Bliżej, już obustronnie, w rok później, jako uczestnik Jego seminarium magisterskiego, obejmującego światowe doktryny literaturoznawcze i estetyczne. Ogrom erudycji Profesora, niezwykle dar prześwietlenia jasnością porządkującej myśli nawału różnorodnych zjawisk (a wtedy przecież były to w polskiej nauce informacje rewelacyjnie nowe, nikomu dokładniej nieznanne) oraz zawikłanych, często wzajemnie sprzecznych i niejednoznacznych, koncepcji naukowych – fascynował, ale też i onieśmielał. Lecz to tylko przy pierwszych kontaktach *ex cathedra*. W kontaktach bliższych, konwersacyjnych, onieśmielenie usuwała świadomość, że owa – ujawniana z nadzwyczajną skromnością i jakby mimochodem – ogromna wiedza jest nam właśnie *d a w a n a*, powierzana niejako w depozyt i że tym samym, mimo wszelkie nasze niedostatki, jesteśmy traktowani partnersko, na – nie przewidujący żadnych innych, niż my sami, żyrantów – kredyt.

Postać Henryka Markiewicza stanowiła w moim pokoleniu pewną zagadkę. Z jednej strony był wtedy niewątpliwie „uczonym marksistowskim”. A więc mogło by się zdawać, że z samej natury marksizmu (i to nie tylko w praktyce jego politycznych zastosowań, ale i u jego teoretyczno-filozoficznych podstaw) powinien by być, jak ów marksizm, uczniem ideologicznie autorytarnym. Z drugiej znów strony był niewątpliwie „wielkim uczniem”, a więc, zdawałoby się, „ekskatedralnym”, nieprzystępnym. Oficjalnym zatem niejako podwójnie. I zarazem, gdy go się już trochę bliżej poznało, okazywał się człowiekiem wielkiej bezpośredniości. Serdecznym. Przychylnym. I przede wszystkim zupełnie niebywale tolerancyjnym. Nie tylko metodologicznie, ale też światopoglądowo. Tolerancyjny

marksista? I to na początku lat 60.? Rozwiązywaliśmy – późniejsi Jego najbliżsi uczniowie, asystenci i młodszy koledzy – tę zagadkę na raty. Z różnymi w owych ratach wynikami. Kiedy jeszcze jako licealista zetknąłem się (wtedy tylko za pośrednictwem omówień prasowych) z Jego *Tradycjami i rewizjami* (1957), zapamiętałem sobie, że jest on ważnym współtwórcą dokonującego się właśnie w kulturze polskiej przełomu (pojęcia „rewizjonizm” jeszcze wówczas nie znałem). Kiedy na I roku polonistyki pewien wieczny adiunkt zadał mi referat z książki *O marksistowskiej teorii literatury* (1952) z ukrytą (starannie i przeze mnie wówczas wcale nie dostrzeżoną) intencją przewrotnego zdeprecjonowania autora – po uważnej lekturze nabrałem przekonania, że mam wprawdzie do czynienia z książką dość doktrynerską (czy raczej „doktrynalną”), ale bynajmniej nie odstręczającą, nie propagandową i całkiem rozważną, przynajmniej na tle tego, co czytać musiałem w szkole, w podręcznikach. Widać było jak na dłoni, że „markiewiczowski marksizm” niczego nie chce literaturze odbierać ani jej obcinać, ani jej „tłamsić”; obarcza ją tylko dodatkowo pewnymi zobowiązaniami społecznymi i poznawczymi, pozostawiając jej jednak względnie dużo czasu i przestrzeni na „zajęcia własne” – z estetyki, z piękna.

Jako słuchacz Markiewiczowskich wykładów i Jego seminarzysty (co prawda trochę „przyszywany”, ale wierny i systematyczny (główną moją preceptorką była najpierw profesor Maria Dłuska, u której też robiłem magisterium), nauczyłem się natomiast raz na zawsze, że nikt – żadna doktryna czy teoria – nie ma monopolu na prawdę i że prawda odsłania się zawsze z wolna, cząstkowo, gdzieś w przestrzeni międzyteoretycznej, że prawda się zawsze staje, choć to wcale nie musi oznaczać relatywizmu poznawczego, czy subiektywnej anarchii teoretycznej, a zwłaszcza relatywizmu etycznego. Przy czym – co szczególnie ważne – Markiewicz nigdy swych światopoglądowych, tj. marksistowskich, sympatii nie próbował zataić; uważnie też wysłuchiwał każdej krytyki i bez śladu agresji podejmował z nią polemikę, nie wykorzystując nigdy swej pozycji i – przytłaczającej przecież – erudycji. Były to pogładowe lekcje tolerancji i współlistnienia światopoglądów, także estetycznych. I to – nie umniejszając doniosłości lekcji wiedzy literaturoznawczej – była chyba najważniejsza lekcja, jaką wyniosłem już z zajęć uniwersyteckich profesora Markiewicza. Lekcja tolerancji. Na wszystkich polach: ideologii i światopoglądu, teorii naukowych, stosunku do poziomu wiedzy innych, szacunku do cudzych postaw i przekonań.

Wiemy (bo o tym się już parokroć pisało; myślę nawet nieskromnie, że to ja sam pierwszy o tym napisałem), że literacko debiutował Markiewicz w wieku niespełna 13 lat. I był to debiut nader dorosły (zmuszony

przez Wacka Twardzika, przeczytałem w 1973 roku uważnie ów tekst). Jako gimnazjalista i licealista pisywał potem w dodatku literackim IKC-a. Studia polonistyczne rozpoczął późno – w 1946 roku, po powrocie z Uzbekistanu, gdzie cudem uszedłszy śmierci głodowej, zdążył już nawet zdobyć doświadczenie dydaktyczne jako nauczyciel i wychowawca w polskim, a ściślej żydowsko-polskim, domu dziecka (wcześniej był, wraz z ojcem, zesłany na Ural, gdzie pracował jako drwal). Kiedy w 1950 roku – w jakiś czas po absolutorium – Kazimierz Wyka wraz ze Stanisławem Pigoniem fortelem zmusili Go do złożenia egzaminu magisterskiego, był już Markiewicz autorem paru opublikowanych polonistycznych rozpraw (i jednej książki, o Prusie), dyskutowanych w polonistycznej skali ogólnopolskiej (m.in. na I Zjeździe Polonistów). Własne seminaria magisterskie zaczął prowadzić w roku 1954, gdy rozwój polonistyki krakowskiej umożliwił stworzenie stanowiska „zastępcy profesora”, który zająłby się epoką poromantyczną. Wtedy też powstały w większości Jego pionierskie prace o twórczości Żeromskiego i Prusa. W rok później – otrzymał w Instytucie Badań Literackich PAN (gdzie pozostawał równolegle zatrudniony od samego początku, tj. od roku 1948) doktorat (zwany jeszcze „kandydaturą nauk”). Formalnie podstawą była wcześniejsza książka *O marksistowskiej teorii literatury* (1952), ale faktycznie weszły w grę późniejsze publikacje o Bolesławie Prusie. W 1956 roku na wniosek swego ówczesnego bezpośredniego przełożonego uniwersyteckiego, prof. Wacława Kubackiego, został Markiewicz profesorem nadzwyczajnym UJ. Tytuł i stanowisko profesora zwyczajnego otrzymał w 1964 roku, na kilka miesięcy przed ukazaniem się dzieła *Główne problemy wiedzy o literaturze*. Zapewniającego Autorowi trwałą i wybitną pozycję w polskim literaturoznawstwie współczesnym. I w ogóle w historii polskiego literaturoznawstwa. Rene Wellek w swoim wielkim dziele przyznał mu nawet miejsce w literaturoznawstwie światowym. Książka ta była wielokrotnie dyskutowana, a przynajmniej omawiana, w czasopiśmiennictwie naukowym rosyjskim, czeskim, słowackim, węgierskim, chorwackim, serbskim, a nawet w niemieckim, amerykańskim i angielskim. W Polsce miała sześć wydań, poszerzając z czasem swą objętość o blisko jedną czwartą objętości pierwotnej. Była tłumaczona na węgierski, serbski, słoweński, słowacki, rosyjski, niemiecki, czeski, rumuński, hiszpański. Jej swoisty tom drugi stanowią *Wymiary dzieła literackiego* (1984), raz tylko w Polsce wznowione, ale za granicą mające bodaj więcej jeszcze niż poprzednia wydań i komentarzy. I uchodziła tam powszechnie, bardziej niż w Polsce, za książkę bardzo nowatorską i nowoczesną. Obie tworzą jakby „luźną trylogię” z nieco późniejszą *Literaturoznawstwo i jego sąsiedztwa*.

Wymieniam te książki jako szczególne „Markiewiczowskie *signa*”, znane szeroko w kraju i za granicą. Ale ‘Biblioteka Markiewiczowska’, biblioteka napisanych i zredagowanych osobiście przez niego książek, jest ogromna. Wspomnę tylko, że już po przejściu na emeryturę stworzył Profesor ogromne, kilkusetstronicowe dzieło *Teorie powieści za granicą*, uzupełniwszy je niebawem o tom *Teorie powieści w Polsce*. A przecież nie sposób tu nie wspomnieć o pierwszym tej miary w literaturoznawstwie polskim wielkim historycznoliterackim kompendium *Pozytywizm*. Czy o doniosłej, trzytomowej ostatecznie, encyklopedii *Skrzydlatych słów*, owocu benedyktyńskiej pracy (choć także szlachetnej zabawy) wraz z uczniem, profesorem Andrzejem Romanowskim.

Na przestrzeni 40 lat pracy dydaktycznej wypromował profesor Markiewicz blisko 400 magistrów filologii polskiej, z których większość zasiliła oczywiście polskie szkolnictwo średnie, niektórzy zostali znakomitymi wydawcami, wybitnymi krytykami literackimi, publicystami. Doktoraty pod Jego kierunkiem uzyskało blisko 50 osób. Spośród nich – przy Jego recenzenckim udziale i naukowym, doradztwie – dwadzieścioro otrzymało habilitację, z tych zaś piętnaścioro tytułarne profesury. Można by z tej kadry utworzyć co najmniej trzy silne uniwersyteckie instytuty.

A przecież ta ostatnia „statystyka” nie uwzględnia mnóstwa osób niejako do Markiewicza „przyłączonych”, choć formalnie zdobywających wykształcenie i osiagających kolejne szczeble naukowej kariery pod opieką innych uczonych. Powstawały w ten sposób wokół Markiewicza swoiste, ząbwiąjące się, konstelacje „uczniów różnych mistrzów”, rodzaje interdyscyplinarnych konfraterni. Jest takich „Markiewiczowskich uczniów przyłączonych” mnóstwo. I często z różnych, pozapolonistycznych i pozaliteraturoznawczych nawet, dyscyplin.

Być może, między innymi przez swój, wspominany już tutaj – jakże szczególnie i jakże rzadki wśród uczonych! – liberalizm (a może lepiej powiedzieć wprost: dydaktyczną wielkoduszność i bezinteresowność) – nie stworzył Henryk Markiewicz „własnej szkoły teoretycznej”. Myślę, że głównie jednak dlatego, że zawsze był – nawet jako marksista! – a-doktrynerski (i też po trosze a-doktrynalny). Ustalił się jednak w polskim akademickim myśleniu o literaturze pewien „Markiewiczowski styl”: liberalizmu i tolerancji, rzetelności faktograficznej i systematyzującego porządku, pieczołowitej lojalności wobec poprzedników i „konkuten-tów”, wnikliwej – a zarazem krytycznej uwagi – dla tego, co inne, nowe, otwarte, wielorakie. I wielkiej troskliwej opiekuńczości dla tego co dawne, dla tradycji.

Więc powiem teraz tak: to prawda Henryk Markiewicz, najwybitniejszy bodaj polski teoretyk literatury, nie stworzył własnej teoretycznolite-

rackiej szkoły. To prawda. Ale stworzył pewien niepowtarzalny styl myślenia (i mówienia) o literaturze, który daje o sobie znać w różnych szkołach i często stanowi ich fundament. Można by – sędzę – określić dziś ten styl jako potrzebę nieustannego dialogu między metodologicznego i międzydyscyplinarnego.

Jak do tego doszło? Do tego, że dokonał tego właśnie niegdysiejszy marksista? A nawet zupełnie po prostu: marksista? To w istocie dość oczywiste. Bo zwyczajnie – konsekwentne. Ogromna i ciągle w niebywałym tempie rosnąca erudycja Markiewicza, Jego nadzwyczajne wyczulenie na wartościowe aspekty cudzych koncepcji, lecz w równej mierze na koncepcji tych luki, sprzeczności, łatwizny i mistyfikacje – ukazało mu we właściwych proporcjach własne pierwotne metodologiczne założenia i kazało – miast pozycji osądu z góry (co było i jest dla marksizmu, jak i wszelkiej ideologii, tak znamienne) doprowadzić do postawy partnerskiego dialogu. Markiewicz – teoretyk i „meta-metodolog” – okazał się (już na początku lat 60.) znakomitym aranżerem owego dialogu. I poniekąd polskim tłumaczem przysięgłym wielojęzycznych (bo wielo-metodologicznych) konwersacji humanistycznych. I to w skali światowej; więc także „tłumaczem” w sensie bardziej dosłownym. W humanistyce nowoczesnej widzę pozycję naszego uczonego (co zresztą już niegdyś podpowiedział prof. Michał Głowiński) jako tolerancyjnego i rzetelnego teoretycznego poliglotę na współczesnej humanistycznej wieży Babel.

Jest to oczywiście nie żaden konformizm (tzn. „konformistyczny synkretyzm”, czy „konformistyczny eklektyzm”, co mu parokrotnie w latach 70. i 80. próbowano zarzucać), ale przeciwnie: heroizm. Skromny – a przez tę skromność właśnie szczególnie gruntowny – heroizm rzetelnego humanisty w dobie gwałtownie narastającego kryzysu nauk humanistycznych, nauki o literaturze zaś (jak i samej literatury) w szczególności. Humanisty, który – by zacytować Słowackiego – „żadnego nie kłął ruchu”, ale też – od pewnego momentu – w żaden bezkrytycznie już się nie włączał, równocześnie jednak głosów każdego wysłuchać był gotów cierpliwie i z najlepszą wolą. Jest to – powtarzam – postawa heroiczna, w całym dzisiejszym literaturoznawstwie światowym bodaj unikatowa. A zarazem – i może przede wszystkim – pełna ogromnej skromności i szczególnie rodzaju wielkodusznej pokory. Pokory mędrca. I wspaniałego człowieka wielkiego formatu, o wielkim, pojemnym sercu i przenikliwym umyśle.

Kraków–Warszawa, kwiecień 2014